

Zapraszamy na wystawę
do Sopotu

Wojenna edukacja polskich dzieci-tułaczy

Polskie dzieci, młodzież i szkoły na tułaczyczych szlakach 1939-1948 – to tytuł wystawy otwartej przez Gdański Oddział IPN w sali obrad Rady Miasta Sopotu. Jest to wystawa ze zbiorów dr. hab. Marka Ney-Krwawicza, pracownika naukowego Instytutu Historycznego Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Ukazuje wojenną tułaczkę polskich dzieci oraz ich edukację w różnych krajach świata, w przejściowych, improwizowanych szkołach. Szkolnictwo polskie poza granicami okupowanego kraju organizowały od początku wojny władze RP na uchodźstwie – początkowo we Francji, potem w Wielkiej Brytanii. Dziennik Ustaw RP z 1941 r. zawiera dekret prezydenta RP o utworzeniu Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych. W latach 1943-1944 ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego był ks. Zygmunt Kaczyński, po wojnie redaktor „Tygodnika Warszawskiego”, aresztowany i skazany na 10 lat więzienia za „nielegalną działalność”, zamordowany przez UB w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach w maju 1953 roku.

Na planszach znajdują się dokumenty i zdjęcia z Węgier, Rumunii, Szwajcarii, Cypru, Wielkiej Brytanii i ze Związku Sowieckiego. Ewakuacja tysięcy dzieci polskich ze Związku Sowieckiego do Iranu latem 1942 r. zapoczątkowała prawdziwą odyseję młodych Polaków po całym świecie. Na wystawie znajdziemy świadectwa szkół polskich z Iranu (Isfahan – „miasto polskich dzieci”, Teheran, Ahwaz), Palestyny (ośrodek dziewcząt w Ain-Karem, ZHP na Wschodzie, Junacka Szkoła Kadetów, Szkoły Młodszych Ochotniczek), Libanu (Zouk Mikael, Bejrut, Baadbat, Ghazira), z Afryki (Tanganika – Tengeru, Morogoro, Ifunda, Kondo, Kidugala; Uganda – Kojya; Kenia – Rongai; Rodezja Południowa – Diggelfold; Rodezja Północna – Bwana M Kubwa, Abercorn, Lusaka; Związek Południowej Afryki – Oudtshoorn), z Indii (Bombaj), z Meksyku (Santa Rosa), z Nowej Zelandii (Pahiatua), z Włoch (Porto San Giorgio).

To jest wystawa nie tylko o edukacji, ale i o cierpieniu, tęsknocie, których doświadczyły dzieci i młodzież polska – w dużej części sieroty lub półsieroty wojenne. Poza planszami tematycznymi na wystawie zobaczymy w gablotach wzruszające pamiętniki i pamiętniczki z wpisami z Rosji, Iranu, Palestyny, Indii, Libanu, Nowej Zelandii czy Afryki. Są bardzo wymowne i nie pozwalają zwiędzającemu wystawę przejść obojętnie.

Wystawa Marka Ney-Krwawicza jest doskonałym punktem wyjścia do żywej lekcji polskiej historii. Będzie czynna do 17 marca. Polecamy ją szczególnie nauczycielom historii i przedmiotów humanistycznych. Ze względu na miejsce ekspozycji godziny otwarcia są zmienne. Prosimy o telefoniczny kontakt dzień wcześniej: tel. (58) 668 49 24, (58) 668 49 01 lub (58) 668 49 08. Zorganizowane grupy będą oprowadzone przez pracownika IPN. **PSz**

Kolęda dzieci polskich w Kazachstanie

Słowa: Waleria Iwankiewicz-Gryniewicz
Muzyka: Stanisław Markowski

Śpij, Jezusku, śpij, Malutki, luli, luli, luli.
Matusz kupi nowe butki, Matusz cię utuli.

Matusz szepnie Ci na uszko: – Czy Ty wiesz, Kochanie,
polskim dzieciom marzną nóżki w zimnym Kazachstanie.

Śpij, Jezusku, Złota Gwiazdka, Kryształowa Roso,
aniolowie słodkie ciastko Tobie wnet przyniosą.

Jeden z nich, co gra na lirze, lekko sfrunie z nieba.
– Wiesz, Jezusku, na Sybirze dzieciom braknie chleba.

Weźmiesz ciastko, weźmiesz butki i ciepłe ubranie.
Pójdiesz, by rozpędzić smutki w zimnym Kazachstanie.

Srebrny księżyc z Mlecznej Drogi zbierze mleko słodkie,
Matusz spieczę Ci pierogi dla polskiej sierotki.

Miś przyniesie plaster miodu, pójdzie z Jezusikiem,
by nie znaly dzieci głodu na Sybirze dzikiem.

By w noc dziką, by w Noc Świętą zła niedola przysła;
żeby każdy dziś pamiętał, że Gwiazdka zabłysła.

Waleria Iwankiewicz została jako dziecko wywieziona wraz z rodziną, w roku 1940, z Mołodeczna do Kazachstanu. „Tam z tęsknoty za krajem zaczęłam pisać wiersze” – powiedziała po latach. Wróciła do Polski w roku 1946. Muzykę do tej szczególnej kolędy napisał Stanisław Markowski z Krakowa.

Kresowe dzieci

Słowa: Marian Jonkajtys
Muzyka: Andrzej Płończyński

Życie Polaków z miast i osiedli
na ziemiach wschodnich rozsianych:
z łąk nad Wilijką, z borów Podola,
z Wołynia pół buraczanych.

Cierniem, nie różą było usłane
w upływającym stuleciu.
Los w czasie wojny drugiej światowej
nie oszczędził kresowych dzieci:

Piotrka z Nieświeża,
Józka ze Lwowa,
z Wilna Tereski i Ziotka,
z Grodna Grażynki,
Antosia z Brześcia,
Maniusia spod Nowogródka.

Wdarli się do nich nocą żołdacy
na krzywdę i na ból ślepi
i wysiedlili wraz z rodzinami
w Sybiru lasy i stepy.

A tam, w Sybirze, nędza, katorgia,
śmiertelny mróz i zawieje;
nagle amnestia: Sikorski – Anders,
ożyły w sercach nadzieje.

Piotrkom z Nieświeża,
Józkom ze Lwowa,
z Wilna Tereskom i Ziotkom,
z Grodna Grażynkom,
Antosiom z Brześcia,
spod Nowogródka Maniutkom.

Z tajg syberyjskich,
z kazachskich stepów,
z głodnego Uzbekistanu
dotarły cudem dzieci – szkielety
do gościnnego Iranu.
General Anders w polskich osiedlach
w Afryce, w Indiach, w Australii
stworzył im szansę, by wiarę w Boga
i w ludzi znów odzyskali.

Piotrkom z Nieświeża,
Józkom ze Lwowa,
z Wilna Tereskom i Ziotkom,
Grażynkom z Grodna
Antosiom z Brześcia,
spod Nowogródka Maniutkom.

Dziś po pół wieku, po całym świecie
rozsiani z dala od kraju,
do tamtych przeżył kresowe dzieci
myślami często wracają.
A że co roku ktoś z ich grona
przekracza już smugę cienia,
niech ta piosenka chociaż imiona
uchroni od zapomnienia.

Piotrka z Nieświeża,
Józka ze Lwowa,
z Wilna Tereski i Ziotka,
z Grodna Grażynki,
Antosia z Brześcia,
Maniusia spod Nowogródka.

Autor tej wzruszającej pieśni Marian Jonkajtys (*1931 †2004) jako 9-letni chłopiec deportowany był z rodziną na 6 lat do Kazachstanu (1940-1946). Znanie są wstrząsające wspomnienia z tego okresu jego siostry Grażyny Jonkajtys-Luby, wydane pod znanym tytułem „Was na to zdziś przywiezli, sztab wy padochli!...”. Po wojnie był aktorem, reżyserem teatralnym, pedagogiem i poetą, autorem tekstów licznych piosenek, m.in. „Hymnu Sybiraków”.

Dodatek historyczny IPN Nasz Dziennik 2/2009 (21)

Dzieci wojny na wygnaniu i tułaczce



Piotr Szubarczyk, IPN Gdańsk

Niezaleczona rana dzieci wojny

„Przyjazne porozumienie” okupantów

Niemiecka polityka narodowościowa na okupowanym terytorium Rzeczypospolitej Polskiej nie wynikała z okoliczności wojennych, lecz została zaplanowana na wiele lat przed wybuchem wojny. Opierała się na kontestowaniu ładu politycznego zbudowanego w Europie po I wojnie światowej, ładu opartego na traktacie wersalskim. Ów ład wynikał z aspiracji niepodległościowych narodów, które na europejskiej osi północ-południe, na styku niemieckich i rosyjskich obszarów wpływów politycznych odbudowały lub zbudowały po raz pierwszy swą państwowość: Finów, Estończyków, Łotyszów, Litwinów, Czechów, Słowaków, Węgrów, południowych Słowian, nade wszystko najludniejszego spośród tych narodów – Polaków. Te obszary stały się przedmiotem zbrodniczego, potajemnego kontraktu między Niemcami a Sowietami, tak samo jak Niemcy niezadowolonymi z konsekwencji porządku wersalskiego i z powstania niepodległych państw. W tym kontrakcie, tajnym protokole do paktu o nieagresji z sierpnia 1939 r., nazwanym później paktem Ribbentrop – Mołotow, dokonano nie tylko IV rozbioru Polski, ale także rozbioru terytoriów państwowych Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, przyszłość pozostałych krajów pozostawiając „przyjaznemu porozumieniu”. „Problem” czeski i słowacki Niemcy rozstrzygnęli już wcześniej. Także „przyjazne porozumienie” miało w przyszłości rozstrzygać, „czy w obopólnym interesie będzie pożądanym utrzymanie niezależnego państwa polskiego i jakie będą granice tego państwa”. Stanowisko sowieckie nie pozostawiało złudzeń. Państwo polskie w jakiegokolwiek postaci jest niepotrzebne. Okupowane Kresy Wschodnie nazwano „zachodnią Ukrainą” i „zachodnią Białorusią”. Ich okupacja była przedstawiana jako „oswobodzenie”, wyzwolenie od „jaśniepanów polskich”. Niemcy skłaniali się ku „Restpolen”, czyli „resztówce Polski” zrealizowanej w postaci tzw. Generalnej Guberni. Jednocześnie niemiecka polityka wobec Polaków opierała się od samego początku na przywróceniu stanu poprzedniego, natychmiastowym wcieleniu do Deutsches Reich terenów należących przed rokiem 1920 do zaboru niemieckiego, przeznaczonych teraz do całkowitej germanizacji.

Dokończenie na s. 11



Powiat Brzeżany: Żona Michała Popiela z dwojgiem małoletnich dzieci została zamordowana przez UPA w nocy z 22 na 23 stycznia 1944 r.

Cały numer poświęcamy przypomnieniu gehenny, jaką w latach czterdziestych XX wieku przeżyły polskie dzieci, najmłodsze ofiary agresji i okupacji niemieckiej i sowieckiej. To już ostatni świadkowie II wojny światowej. Przedstawiamy ich traumatyczne wspomnienia: jak były brutalnie wysiedlane na Wschód lub na Zachód, jak cierpiały głód, nędzę i poniżenie, oglądały śmierć najbliższych. Spośród wojennych sierot wyjątkowa trauma dotknęła „dzieci Kresów”, które przeżyły ludobójstwo dokonane na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich. Polecamy mówiące o tych doświadczeniach książki, wystawy i filmy.

Piotr Szubarczyk, IPN Gdańsk

Niezaleczona rana dzieci wojny

Dokończenie ze s. I

To wcielenie nastąpiło już w październiku 1939 roku. Konsekwencją były dotkliwie wysiedlenia, a raczej wypędzenia ludzi osiadłych na tych ziemiach po roku 1920 do tzw. Generalnej Guberni – bez zapewnienia im możliwości godziwej egzystencji. Według prof. Czesława Łuczaka, z ziem wcielonych do Rzeszy wypędzono z domów 923 tysiące obywateli polskich, dając im pół godziny na spakowanie tobołka o wadze 25 kilogramów. Klucze kazano pozostawić w drzwiach. Trzeba na to spojrzeć jeszcze z innej perspektywy: odebrano dom rodzinny setkom tysięcy dzieci polskich, skazując je na poniewierkę. Wypędzenia z Pomorza, Wielkopolski i Śląska rozpoczęły się w październiku 1939 roku. Enkawudowskie deportacje w głąb Związku Sowieckiego, rozpoczęte na masową skalę w lutym 1940 r. i kontynuowane w roku następnym, były w gruncie rzeczy odpowiednikiem niemieckich wypędzeń. W jednym i drugim przypadku chodziło o pozbawienie tysięcy ludzi ich stanu posiadania oraz o pozbawienie tych obszarów historycznie polskiego rysu. Zbrodnia wypędzeń, rabunek mienia i pozbawienie domu, objęła jednak nie tylko ziemie wcielone do Rzeszy. Także na terenach „Restpolen” wypędzono ponad 800 tysięcy ludzi! Najbardziej dramatyczne przykłady to Warszawa po powstaniu 1944 r., a wcześniej Zamojszczyzna. Przy łącznej liczbie 1 mln 700 tys. ograbionych i wypędzonych można szacować, że na terenie tylko okupacji niemieckiej rodzinny dom utraciło na czas wojny ponad milion polskich dzieci. O liczbie deportowanych przez Związek Sowiecki trudno jest mówić bez emocji. W ostatnich latach, na podstawie dokumentów sowieckich (zapewne tak samo „wiarygodnych” jak statystyka tego państwa opartego na kłamstwie i propagandzie), zredukowano „naukowo” liczbę deportowanych do 300-400 tysięcy, sugerując, że general Anders wyprawił do Iranu połowę deportowanych obywateli RP, co samo w sobie jest absurdalne. Samotną walkę o syberyjskie krzyże, także tysiące dzieci polskich, które tam zatracono, podjął Stanisław Rymaszewski, dziecko Sybiru, w książce „W obronie zaginionych krzyży”. To jednak kwestia do osobnego omówienia. Dodajmy tylko, że do dziś, 64 lata od zakończenia wojny, Polacy nie wiedzą, ilu obywateli Rzeczypospolitej Polskiej straciło na tej wojnie życie. Rozbieżności sięgają 2 mln ludzi!



FOT. ZE ZBIORÓW IM. NIEK-KRAWIĄCZA

„Dostałem mundur, buty, spodnie, bluzę, pierożek, wełniane kałesony, trykotową koszulę i sukienną, chlebak, manierkę, 2 koce, paski do koców, nóż, tyżkę, widelec, ręcznik, mydło, pas i szczyryk” – pisał Janek Ostrowski do mamy i siostry, które zostały w Sowieciech. Ta siostra, Zosia, wkrótce umarła. Junacka Szkoła Kadetów w Palestynie nie tylko ubrała polskie dzieci. Przede wszystkim przywróciła im godność osoby ludzkiej i radość życia

* * *

Te uwagi wstępne są niezbędne, by zrozumieć kontekst polityczny eksterminacji obywateli Rzeczypospolitej Polskiej – dokonywanej od początku okupacji zarówno przez Niemcy, jak i Związek Sowiecki. „Przyjazne porozumienie” okupantów i jego konsekwencje, wielokrotnie już opisane w literaturze historycznej, stało się głównym tematem jednej z najważniejszych wystaw w historii Instytutu Pamięci Narodowej – „Zagłada polskich elit. Akcja AB – Katyń” (2006). Pokazano tu w sposób bardzo sugestywny genezę prześladowań fizycznych i moralnych całych grup społecznych w Polsce: elit intelektualnych, działaczy społecznych zapamiętanych jako obrońcy Kresów – zarówno Wschodnich, jak i Zachodnich, osadników na terenach należących przed rokiem 1918 do Rzeszy i osadników wojskowych na Kresach Wschodnich, kleru katolickiego, jeńców wojennych i ogółu obywateli RP – poprzez fizyczne unicestwienie lub poprzez upokarzające i poniżające odebranie im podstawowych praw: do własnego języka, tożsamości narodowej, wykształcenia, religii, wolności słowa. We wszystkich tych cierpieniach i upokorzeniach uczestniczą w dwójnasób dzieci i młodzież.

Działania wojenne

Pierwsza fala cierpienia związana jest z działaniami wojennymi we wrześniu i październiku 1939 roku. Masowe naloty lotnicze o charakterze terrorystycznym, zbrodniczym na obiekty cywilne, wojna totalna na niespotykaną przedtem skalę. Symbolem tych działań stało się miasteczko Wieluń, w którym w ciągu jednego tylko dnia, pierwszego dnia wojny, zabito ponad 2 tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, a 70 proc. zabudowy obrócono w gruzy.

Straty polskie z rąk niemieckich, podczas kampanii 1939 r., wynosiły według Biura Odszkodowań Wojennych ponad 200 tysięcy zabitych i rannych. Mimo braku regularnych działań wojennych przeciwko armii sowieckiej, z rąk żołnierzy tej armii zginęło kilkanaście tysięcy Polaków, w większości rozstrzelanych już po wzięciu do niewoli. Ponad 600 tysięcy oficerów i żołnierzy dostało się do niewoli niemieckiej i sowieckiej. Tylko na podstawie rozkazu Stalina z 5 marca 1940 r. ponad 22 tysiące z nich zamordowano, a rodziny brutalnie wywieziono w kwietniu 1940 r. do głodującego Kazachstanu, skąd wielu nigdy już nie wróciło do kraju.

Już sam początek wojny sprawił, że tysiące polskich dzieci zostało sierotami. Sprawili, że dzieci te doznały traumatycznych przeżyć, które im będą towarzyszyć przez całe lata.

Aleksandra Polewczyńska, gimnazjalistka z Wielkopolski, wraca 13 września 1939 r., po wcześniejszej ucieczce przed Niemcami, do domu. Na leśnej drodze dwóch cywilnych Niemców zabija jej ojca. Na oczach matki i córki. „W jednej chwili przestałam być dziewczynką gimnazjalną w granatowym berecie na głowie (...). Umazana po łokcie we krwi jechałam na rowerze jak widmo”. Osierocona rodzina została niedługo potem wypędzona z rodzinnego domu i z Wielkopolski. Tragedia Oli i jej rodziny lepiej oddaje istotę okupacji niż niejedna synteza historyczna. Bezsenność, śmierć, bezprawie, na które nikomu nie można się poskarżyć, tży, rozpacz i upokorzenie, przedwczesne dorastanie dziecka, zderzenie wzniosłych myśli i młodzieńczego idealizmu z brutalnością bezwzględniego agresora, utrata domu rodzinnego. Wszystko, co znała i kochała, w jednej chwili zostało bezpowrotnie utracone. „Kilka razy w roku odwiedzałam grób ojca, także matki” – pisze dziś dr Polewczyńska-Herchold z Poznania. „Trasa prowadzi przez pamiętny las. Jadąc, mocno zaciskam ręce na kierownicy samochodu”.

Edward Gruchalski z Łaska zachował w pamięci widok na wpół oszalałego z przerażenia i rozpaczki chłopca, któremu niemiecka bomba lotnicza zabiła ojca.

Róża Kieszkiewicz z Warszawy miała 6 lat, gdy zaczęła się wojna. „To ja: sześciolatnie dziecko, zerwane ze snu, dygoczące z zimna nocy i przebudzone hukami wybuchających bomb. Blask oświetlanego reflektorami nieba pozostał w moich oczach do dziś. Do dziś także pamiętam rannego polskiego żołnierza konającego w korytarzu naszego domu. Dobrze pamiętam też Polaków powieszonych na wprost sądów oraz egzekucję na ulicy Górczewskiej róg Płockiej, przy murze fabryki firanek. Mężczyzn wyciągniętych z półciągarówek, z zakneblowanymi ustami, których tu na placu rozstrzelano”.

dział znów do mnie: „A twojej mamie żywcem wyrwali język”, pokazał przy tym ruchem ręki, jak to miało wyglądać. W tym momencie już bardzo się bałam i zaraz powiedziałam do niego: „Po co mi ty to mówisz, to było dawno, ja nie po to przyjechałam”. Wtedy on powiedział jeszcze na koniec: „A Józka waszego to kolkiem przybił żywcem do ziemi, przez brzuch”. (...)

Pamiętam także inną bardzo bolesną dla mnie historię. Wydarzyła się ona jeszcze w 1939 roku. Jako mała dziewczynka chodziłam wtedy do Wisły, do ochronki, którą prowadziły siostry zakonne. Gdy pewnego razu bawiłam się jak zwykle z dziećmi ukraińskimi, jeden z chłopców, starszy ode mnie około 2-3 lat, w wyniku jakiegoś nieporozumienia powiedział mi bardzo ubliżające słowo, dodając przy tym przymiotnik „polska”. To był syn popa ukraińskiego. Po tym wydarzeniu siostra zakonna rozmawiała w tej sprawie z tym popem. On się o tym dowiedział, zdecydowanie nakazał synowi, aby mnie przeprosił i pocałował w rękę. Ten chłopiec posłusznie wykonał wolę ojca, ja jednak na całe życie zapamiętałam ten akt wrogości w ustach małego chłopca w stosunku do małej dziewczynki, która była Polką...

Moja dziecięca gehenna

– wspomina Jadwiga Bogdanowa (Wrocław 2005)

(...) Miałam wówczas 9 lat. Strach przed banderowcami, jaki przeżywali moi rodzice, udzielał się nam – dzieciom. Pochodzę z Wołynia, dokładnie z miejscowości Rudnia Lwa, pow. Sarny, woj. wołyńskie. Tu były nasze groby i nasze korzenie. (...)

Wiosną o świcie w 1943 r. kilkuset upowców okrzykiem i naszą wieś oraz bliską Aleksandrówkę. Rozpoczęła się krwawa rzeź, ludzie w panice uciekali do lasu, tam tylko można było się skryć. Ci, którzy nie zdążyli uciec, zostali porażeni siekierami, zakłuci widłami lub pocięci nożami; w ten sposób zginęło dwóch Lechów, a Augustynę Lech spalono wraz z domem. Zginęli wszyscy, którzy nie uciekli. W Aleksandrówce, gdzie ludność dała się zaskoczyć, od noży banderowskich zginęło około 40 osób. W czasie ucieczek z domu nam, dzieciom, towarzyszył niewyobrażalny strach. Po raz pierwszy trzeba było nocować w lesie. Pamiętam, siadaliśmy obok mamy i ustalaliśmy, do którego szałasza dzisiaj pójdziemy spać. Ludzie mówili, że tu będzie nasz dom, bo tam, gdzie napadną banderowcy, zostają porażane trupy Polaków, zgłiszczą i popioły.

Po 30 maja 1943 r. zaczęły się napady na wszystkie polskie wioski i kolonie. Polacy zaczęli wyjeżdżać do większych wsi i nasza rodzina wyjechała do wsi Staryki. W nocy mężczyźni stali na warcie, tato dyżurował, lecz Polacy nie mieli broni, banderowcy byli uzbrojeni, a pozostali mieli przygotowane ostre narzędzia, tylko czekali na sygnał. Niebo rozświetlały rakiety, niektóre wydawało się bardzo blisko, a inne daleko, to były znaki, żyliśmy więc w ciągłym strachu.

Po kilku dniach pobytu w Starykach o świcie i na tę wieś napadli banderowcy, jeszcze spaliśmy, zerwani ze snu uciekaliśmy, jedni do lasu, drudzy do Rokitna. Siła upowców była tak wielka, że stacjonująca tu grupa polskich partyzantów z oddziału Satanańskiego – „Jeszcze Polska nie zginęła”, została zmuszona do wycofania się w głąb lasu. Pozostawiony dobytek w Starykach ukraińskie kobiety ładowały na furmanki, wyprowadzały bydło, po ograbieniu domu podpalali. Mieszkańcy zostali z obcięciami częściami ciała lub ginęli w płomieniach, zamordowano około 150 osób. Zwłoki okrutnie pomordowanych zwożono na plac przykościelny, chowano w zbiorowych mogiłach.

W ogromnym tłoku na drodze, gdy wieś płonęła, uciekałam z moim czteroletnim bratkiem Stasiem i dwunastoletnią siostrą Polą, dołączyła do nas mama, dzieci się gubiły. Przechodziliśmy przez ukraiński chutor, gdy jakiś uczciwy Ukrainiec zawołał, aby wejść do jego domu, dał nam chleba i mleka, weszliśmy, byliśmy bardzo głodni. Podczas jedzenia weszła do mieszkania jego żona i powiedziała: „A was czemu nie zarabali?”, i szybko wyszła. W obawie, by nie przyprowadziła banderowców, nie kończąc jedzenia, w przerażeniu opuściliśmy ten dom. W Rokitnie zatrzymaliśmy się u stryja, w mieście było bardzo dużo uciekinierów z okolicznych spalonych wsi. (...)

Gdy nadjeżdżali Niemcy po plody rolne lub w poszukiwaniu partyzantów, ludzie zostawiali otwarte domy, jeśli zdążyli, zabierali bydło i uciekali do lasu. Niemcy zawsze

przyjeżdżali w czasie dnia, coraz częściej prowadzili zbrojne akcje antypartyzanckie, natomiast banderowcy napadali tylko nocą, obawiali się przebywających już na stałe partyzantów radzieckich. Bandyty wpadali do domu, jeśli zastali Polaka czy partyzanta, ciągli po kawalku. Moją ciocię Honoratę Jasińską i jej dwoje dzieci zakłuli widłami w chutorze Dąbrowa. Sąsiadkę Apolonię Grabowską także zakłuli widłami, była w zaawansowanej ciąży i nie mogła uciekać. Nauczycielkę p. Mierzejewską i jej 14-letniego syna Henryka powiesili do góry nogami na drzewie, odcinali części ciała i wydłubywali oczy. Po odejściu partyzantów z Rudni Lwa w listopadzie 1943 r. znowu było niebezpiecznie, więc chodziliśmy spać do szałasów budowanych w lesie, trzęśliśmy się z zimna, a gdy nadeszły mrozy, ponownie uciekliśmy do Rokitna. Tym razem zamieszkaliśmy w pożydowskim domu, wprawdzie było cieplej, tylko płakaliśmy – z powodu głodu... Po ciężkich przeżyciach zachorował mój tato, na tyfus, całe rodziny wymierły na czerwone i tyfus. Z mojej zmarł dziadek Mikołaj, tato i wiele osób z dalszej rodziny. Mama została sama z dziećmi, bez niczego. Trudno uwierzyć, że w tak ciężkich warunkach przeżyliśmy... Tymczasem front wschodni parł na Zachód. Przed jego nadejściem silnie uzbrojona banda upowców chciała zlikwidować wszystkich Polaków mieszkających w Rokitnie. Niemcy już wycofali się do Sarn. W mieście powstała ogromna panika, gdy na przedmieściu miasteczka palili się domy i mordowano mieszkańców, nie miał kto bronić Polaków. Siedzieliśmy w schronie, mama już żegnała się z nami. Wjeżdżające w pierwszych dniach stycznia 1944 r. czołgi radzieckie odstraszyły banderowskich napastników, tylko dzięki Armii Radzieckiej przeżyliśmy, gdyż decydowała godzina, w przeciwnym wypadku zostalibyśmy bez głów na rokietyrskich pobojowisku. Zawsze podkreślam ten fakt i to, komu zawdzięczam życie.

W terenie nadal trwały walki z bandami UPA. W lutym zamordowali osiemnastoletnią Apolonię Lech, która z rodzinnej wsi wracała do Rokitna. Po miesiącu ze sznurkiem na szyi wydobyli ją ze studni radzieccy żołnierze.

Przez wiele lat zrywałam się podczas snu i uciekałam, zawsze obłana potem, a później nie mogłam zasnąć. Mój brat, rocznik 1939, po przyjeździe na Pomorze, gdy zobaczył idącego drogą człowieka, przybiegał do domu i krzyczał: „Mamo, idzie banderowiec, uciekamy”. Długo widzieliśmy ich niosących widły na plecach. Urazy i ślady, jakie zostały, były nie do uleczenia. Jednak z biegiem lat czas te przeżycia przesuwał w pamięci. I nagle pewnego dnia w telewizji, radiu i w gazetach zaczęto mówić i pisać o latach mego dzieciństwa w taki sposób, że wszystko miało się z prawdą. Z kombatantów drugiej wojny światowej zaczęto robić przestępców, a z morderców – „bohaterów” walczących o „samostijną Ukrainę”, co więcej, należało ich przeproszać. My tymczasem nie mamy prawa powiedzieć głośno o setkach tysięcy niewinnych ludzi wymordowanych przez Ukraińców spod znaku OUN – UPA na całych Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Warto przeczytać:

- ✓ Zdzisław Konieczny, *Stosunki polsko-ukraińskie na ziemiach obecnej Polski w latach 1918-1947*, Wrocław 2006
- ✓ Henryk Komański, Szczepan Siekierka, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939-1946*, Wrocław 2004
- ✓ Lucyna Kulińska, *Dzieci Kresów*, Warszawa 2003, *Dzieci Kresów II*, Kraków 2006; *Dzieci Kresów III* (w druku)
- ✓ Czesław Partacz, Krzysztof Łada, *Polska wobec ukraińskich dążeń niepodległościowych w czasie II wojny światowej*, Toruń 2003
- ✓ Wiktor Poliszczuk, *Gorzka prawda. Cień Bandery nad zbrodnią ludobójstwa*, Warszawa 2006
- ✓ Szczepan Siekierka, Henryk Komański, Krzysztof Bulzacki, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie łwowskim 1939-1947*, Wrocław 2006
- ✓ Szczepan Siekierka, Henryk Komański, Eugeniusz Różański, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie stanisławowskim 1939-1946*, Wrocław 2007
- ✓ Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*, t. 1-2, Warszawa 2000.

DODATEK PRZYGOTOWUJE BIURO EDUKACJI PUBLICZNEJ IPN.

www.ipn.gov.pl

Redaktorzy:

dr Krzysztof Kaczmarski, krzysztof.kaczmarski@ipn.gov.pl (Rzeszów 017 860 60 25)
Romuald Niedzielko, romuald.niedzielko@ipn.gov.pl (Warszawa 022 431 83 73)

ADRES DO KORESPONDENCJI:

DODATEK IPN DO „Naszego Dziennika”
UL. TOWAROWA 28, 00-839 WARSZAWA

SPRZEDAŻ WYDAWNICTW IPN: TEL. (022) 581 88 72

Dr Lucyna Kulińska, AGH Kraków

Tragedia polskich dzieci – ofiar nacjonalistów ukraińskich (1939-1945)

Dokończenie ze s. V

Z tą niesprawiedliwością i tym zakłamywaniem przeszłości nie mogą się pogodzić. Pragną, by w podręcznikach, zarówno polskich, jak i ukraińskich, napisano prawdę, by nie mylono katów z ofiarami. Bo ofiary jeszcze żyją, pamiętają i cierpią – im wybaczenie upowcom przez polityków i hierarchów nie wystarczy, bo za tym nie poszła żadna refleksja, żal za grzechy, zadośćuczynienie.

Śmierć mojej rodziny

– wspomina Marian Demuś (Hrubieszów 1992)

(...) Wioska Chmielów, pow. Włodzimierz, woj. wotyńskie, liczyła ponad 350 numerów. Mieszkała w tej wsi ludność ukraińska. Rodzin polskich było mało – około 6. (...) Pewnego razu ojciec wracał od sąsiada, Ukraińca. Zaczaili się w krzakach i zbili ojca do nieprzytomności. Dzieci z rodzin polskich nie miały szans przejść do szkoły czy też do sklepu. Zastępowali drogę, bili kijami i kopali. (...)

Był to ciężki żywot dla Polaków, jednak do wybuchu wojny Ukraińcy jeszcze się obawiali – nie szli tak „na całego”. Jak wojsko sowieckie wkroczyło do Mikulicz, wojsko polskie uciekało w kierunku Włodzimierza, to Ukraińcy ze wszystkich stron lecieli przez pola do szosy wiodącej od Łucka do Włodzimierza i w lesie na szosie robili rajd na żołnierzy polskich. Zabierali broń, karabiny, automaty, bagnety, szable, amunicję i granaty, i bandami lecieli przez pole do wioski, nieśli zdobycze do domów. Wnioskowałam, że szykują się zbiorcze, lecz wtedy nikt nie wiedział, na co była Ukraińcom broń. Kiedy w 1941 r. wkroczyli Niemcy, okazało się, że zabrana polskim żołnierzom broń przydała się do masowego mordowania polskich rodzin. Widziałem na własne oczy, jak Ukraińcy rozprawiali się z Polakami, palili zabudowania, rzucali żywcem do studni dzieci. Żywcem na krzyż przybijali, gwoździłami do ściany. Żywcem dzieci i kobiety wrzucali do płonących zabudowań. Wszystkim to jest wiadome, tylko dotychczas się nie pisało, nie mówiło, nie kręcono filmów na ten temat – tą sprawą jestem bardzo wzburzony, że nie mówi się dzieciom w szkołach o masowych mordach Polaków przez UPA. (...)

W 1943 r. w miesiącu sierpniu przyjechali o godzinie dwunastej w dzień bandyci z UPA. Trzech na rowerach i trzech na furmankach konnych. Z głównej drogi wiodącej od wsi Mikulicz do Chmielowa zajęli na nasze podwórze i krzyżowali na ukraińsku, żeby pakować rzeczy w tłumok i ze wszystkim uciekać do lasu. Po pewnym czasie ci upowcy powiedzieli, żeby wszyscy mężczyźni przeszli do jednego pomieszczenia, a kobiety z dziećmi do drugiego pomieszczenia. Widząc to, korzystając z chwilowej nieuwagi bandytów, uciekłem. W pobliżu był płot, a za płotem sad dziedzica Iwanowa. Przeskoczyłem przez płot i wszedłem na świerk. Za mną przybiegł brat Kazik, schował się w sadzie obok mnie, w morwach. Po niedługim czasie brat Kazik z sadu pobiegł z powrotem na podwórze. Później widziałem, jak brat z podwórza uciekał do wsi, a za nim dwóch zbirów upowskich pędziło, i dopędzili go, przyprowadzili na podwórze i zabili go kolkami. Matka została skłuta bagnetami, uderzona silnie kilkakrotnie kolbą karabinu osunęła się na ziemię i skonała. Siostrze Jance siekierą odrąbali głowę na pniaku. Słyszałem głośne krzyki siostry Janki, wołały wraz z mamą: „Ludzie, ratujcie!” – krzyczały przedziwnymi głosami. Brat Kazik zabity na podwórzu. Natomiast bracia Stanisław i Wittek zostali zmasakrowani siekierą w pokoju, w domu. (...)

Tragiczne wspomnienie

– Czesława Walkowicz z d. Sidor (Piotrowice 2002)

(...) Od najmłodszych lat mieszkałam w Chłopówce, pow. Kopyczyńce, woj. tarnopolskie. (...) Przed wojną pamiętam zgodne współżycie Polaków i Ukraińców. Jedni i drudzy często się odwiedzali w domach, szczególnie w święta. Był taki zwyczaj, że Polacy na Święta Bożego Narodzenia, w dzień Wigilii, zanosili wieczere wigilijną rodzinom ukraińskim, a jak były święta ukraińskie, to oni przynosili wieczere Pola-



Błozew Górna, pow. Dobromil: Maria Grabowska z d. Suchaj, lat 25, z córeczką Krystyną, lat 3, zamordowane przez UPA 10.11.1943 r.

kom. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek przed wojną groził mi z tego powodu, że jestem Polką. Nie czułam nawet jako dziecko, że ktoś wrogo odnosił się do mnie z powodu tego, że jestem z polskiej rodziny. W domu mówiliśmy wszyscy po polsku, a jak wyszłam na dwór, to już z dziećmi ukraińskimi mówiliśmy po ukraińsku, dużo się wspólnie bawiliśmy i gdyby ktoś mi powiedział, że za parę lat będą Ukraińcy mordować Polaków, nie uwierzyłabym. Podkreślałam, że gdy bywałam w ukraińskich chatkach, odnoszono się do nas normalnie, po prostu dobrze. Pierwszy raz odczułam wrogość ze strony miejscowych Ukraińców tuż po wkroczeniu Niemców w 1941 na nasze ziemie. Za ledwie parę dni po wkroczeniu do naszej miejscowości Niemców słyszałam osobiście na ulicy Chłopówki rozmowę 6-7 mężczyzn, którzy po ukraińsku rozmawiali tymi słowami: „Teper Lachom bude konec” (Teraz na Lachów przyszedł koniec). (...) Coraz częściej z powodu lęku o nasze życie nasza rodzina nie nocowała we własnym domu. (...) często nocowałam u znajomej Ukrainki, jej imię Zosia, a nazwisko Hajduk. Pamiętam, że 18 listopada 1944 roku o godz. 14.00 do naszej wioski Chłopówka przyjechała grupa około 20 żołnierzy w mundurach sowieckich. Obstawili całą wioskę, wszędzie postawili posterunki, zaczęli zatrzymywać ludzi i wypytywać, jak się kto nazywa. Zatrzymali też mojego brata Józefa Sidora, lat 16. Pytali o nazwisko, wtedy on wyjął zaświadczenie ukraińskie, że nazywa się Koromyło, to znaczy podał się za Ukraińca. Wtedy żołnierze puścili go wolno. Mój brat zaczął jednak podejrzewać, że to banderowcy, i pogonił, aby ostrzec swoją mamę. (...) żołnierze zabrali moją mamę ze sobą oraz brata Józefa. Razem z nimi zabrano także Mariana Domarackiego oraz jego żonę Annę. (...) Zobaczyłam na furmance moją mamę, brata i wujka Mariana, lat 58, jego żonę Annę, lat 54, oraz Gawel Bronisławę, lat 39, Piturę Marię, lat 42, oraz Ukraińca o nazwisku Seń, który był hołową (soltysem) Sielrady (rada wiejska). Jak się później dowiedziałam, Ukrainiec Seń zdołał zbiec z tego konwoju. Był to ostatni raz, kiedy widziałam moją mamę i brata. (...)

Przez całe lata nie wiedziałam, co się stało wtedy z nimi. Zaginęli bez wieści. Ludzie w naszej wsi mówili między sobą, że zostali pomordowani, ale nikt nie mówił, kto to zrobił i gdzie zostali pochowani. W roku 1976 pojechałam po raz pierwszy po wojnie z Polski w moje strony rodzinne. W Chłopówce zatrzymałam się u Heleny Storozuk, a potem poszłam do Bronisławy Bihun z domu Komarnicka. Bronka jako Polka wyszła za mąż za Ukraińca, Josepa Bihuna. (...) po chwili milczenia powie-



„Z tajg syberyjskich, z kazachskich stepów, z głodnego Uzbekistanu dotarli cudem dzieci – szkielety do gościnnego Iranu”. To jedno z bardziej znanych zdjęć zagłodzonych i sponiewieranych w Sowietach, deportowanych w latach 1940-1941 polskich dzieci. Publikowane jest zawsze bezimiennie. Czy ktoś zna nazwiska tych dzieci i okoliczności, w jakich wykonano zdjęcie?

Obóz koncentracyjny

Dzieci polskie, tak jak dorośli, trafiały do obozów koncentracyjnych. Niektóre z tych obozów miały mylącą nazwę „przesiedleńczych”, choć faktycznie obowiązywał w nich regulamin Konzentrationslager. 11-letnia Róża po upadku Powstania Warszawskiego została wywieziona z matką i rodzeństwem do KL Stutthof. „Rano kazano nam wysiadać z bydłocych wagonów i pędzono zadrzewioną drogą w kierunku kolejki wąskotorowej. Rozpoczął się załadunek do małych towarowych wagoników wymazanych wapnem (...). Przed nami za drutami kolczastymi pod wysokim napięciem rozciągał się olbrzymi teren gęsto zabudowany barakami. Strzeżli go zandarmi na wieżyczkach z karabinami maszynowymi, celujący prosto w ludzi. Byliśmy przed bramą obozu koncentracyjnego (...). Późnym wieczorem umieszczono nas w jednym z baraków. Zmęczone długą podróżą i upalnym dniem, wyczerpane nerwowo, zasnęliśmy bez jedzenia i picia na ziemi posypanej wiórami i trocinami. O świcie obudziliśmy się, a po naszych ubraniach i tobołkach chodziły wsi, w trocinach, na których spałyśmy przytulone jedna do drugiej, było ich pełno (...). W dniu moich imienin i urodzin, 30 sierpnia, dostałam od mamy w prezencie jej śniadanie – kromkę chleba z margaryną. Były to najsmutniejsze imieniny w moim dziecięcym życiu”.

Zapomniana odyseja

Taki jest tytuł znakomitego filmu dokumentalnego Jagny Wright (t2007) – Polki z Londynu. Choć nie brakuje już w filmotekach i bibliotekach pozycji ukazujących cierpienie dzieci polskich na „nieludzkiej ziemi”, to film ten wywarł wstrząsające wrażenie na wielu widzach. Miałem okazję pokazania go ponad 50 grupom młodzieżowym odwiedzającym wystawę IPN „Ocaleni z nieludzkiej ziemi”

(2005). W żadnej z grup, a było to ponad 2500 osób ze szkół głównie trójmiejskich, nie trafił się nikt, kto okazałby znużenie, znudzenie, obojętność. 54 minuty absolutnej ciszy. Może także dlatego, że film opowiada przede wszystkim o losach ówczesnych dzieci – poprzez ich współczesne relacje. 13-letnia Janka Jurkiewicz zapamiętała dzień 10 lutego 1940 r.: „Pociągi zaczęły ruszać i jeden wielki śpiew zaczął się wydobywać z tych wagonów: »Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród«. Wszyscy plakali i wszyscy śpiewali”. A potem był już tylko głód, choroby, upokorzenie, śmierć bliskich. 10-letnia Janka Kwiatkowska przeżyła w drodze śmierć swojej ukochanej babci: „[Sowieci] wyrzucili ją do rowu. Pociąg ruszył dalej. Ludzie umierali z głodu. Trochę ryb, trochę wody, wszystkiego za mało”. Jechali tak od 10 lutego do 8 marca. Wyszadzono ich pod Irkuckiem.

Stefan Waydenfeld jako 14-latek pracował w kopalni złota razem z swą ciężarną matką. „Pracowaliśmy w wodzie, także kobiety i dzieci. Przed wyjściem wciskali nam szklanekę wódki”. Na bramie obozu, w którym przebywał, widniał napis „Czerez trud k oswoobodnieniu” (Przez pracę ku wolności), czyli „Arbeit macht frei” (Praca czyni wolnym – napis na bramie obozu zagłady w Oświęcimiu).

„Moja mama umarła, miała 32 lata” – wspominała 9-letnia wówczas dziewczynka. „Zostałyśmy same z siostrą w ziemiance. Przymierałyśmy z głodu, woda lała się na głowę. Czasami przez 3-4 dni nic nie jadłyśmy. Nauczyłam się łapać szczury stępowe z nor. Czekalam przy wyjściu z nory z kamieniem. Cudowne dzieciństwo zostało zastąpione makabrą. Czuliśmy się jak dwa szczeniaki, które chcą utopić. Wiem, że mi dziś nie uwierzycie”.

Aniela Nowak miała 10 lat: „Przez 3 lata nie widzieliśmy żadnego lekarza. Kilkunastoletni brat umarł. Mama poszła do kostnicy. Był nagi. Jego łyzy zamarzyły na ciele”.

Sowieccy nadzorczy mówili często deportowanym: „Zdies żyć budietie. Priwyknietie. A kak nie priwyknietie, tak padochnietie” (Tu żyć będziecie. Przywykniecie. A jak nie przywykniecie, to padochnietie). Te „złote myśli” wyrażano jeszcze w inny sposób. Grażyna Jonkajtys-Luba zapamiętała przywitanie przez dyrektora kolchozu w Poputni (Kazachstan), Grigorija Łucenkę: „Po to was tu przywieźli, żebyście zdechli”. Wiedział, o czym mówi...

Danka Waydenfeld, wtedy 13-latką, powie po latach: „Trzeba było wierzyć, że jest Bóg. Bóg, który ocali. Kto stracił wiarę, umierał w ciągu kilku dni. Takie były moje obserwacje”.

Dla Janki Jurkiewicz traumatycznym, niewyobrażalnym przeżyciem, przerażającym 13-letnią dziewczynkę, był zimowy dzień w szczerym polu, gdy pociąg wiozący ją, jej matkę i 2 braciśzków zatrzymał się w zaspach. Miał tam pozostać do rana, a dzieci od kilku dni nic nie jadły. Matka dostrzegła światelka wsi w oddali. Brnąc po pas w śniegu, ruszyła w kierunku tych świateł. Pociąg ruszył... Jak umarła matka, o której wszelki śluch zaginął? Z rozpacz? Z utraty woli życia? Nikt na te pytania nie odpowie. Dziewczynka została jedyną opiekunką 8-letniego Jurka i 2,5-letniego Zbyszka. Umierali na jej oczach. Sowieci dali jej łopatę i pokazali, gdzie może zakopać ciała. Jak się żyje z takimi doświadczeniami? Nie śmiałem pytać.

Masowe deportacje obywateli Rzeczypospolitej Polskiej w głąb Związku Sowieckiego, nieszczęścia, upokorzenia i duchowe cierpienia, miały swój dalszy ciąg po wojnie. Generał Anders uratował tylko część naszych zesłańców; o ewakuacji 20 tys. dzieci z ZSRS w 1942 r. i wieloletniej poniewierce po całym świecie można przeczytać m.in. w pracy „Polskie dzieci na tułacznych szlakach 1939-1950” (red. J. Wróbel, J. Żelazko, Warszawa 2008). Większość Polaków pozostała w Związku Sowieckim, umierając tam lub dożywając roku 1946, kiedy najczęściej wracali. Nie mogli jednak głośno mówić o tym, co ich spotkało na „nieludzkiej ziemi” – jak nazwał Związek Sowiecki czasu wojny Józef Czapski, wybitny polski malarz i pisarz, autor książki „Na nieludzkiej ziemi” (1949). Po wojnie w PRL nieludzka sowiecka ziemia ukazywana była jako raj dla Polaków uciekających przed agresją niemiecką, a generał Anders, który wyprowadził z tego „raju” tysiące dziecięcych cieni i uratował im życie, jawił się w komunistycznej propagandzie jako reakcyjny awanturnik, który nie chciał się bić z wrogiem u boku sowieckiej armii wyzwolicielki i który nie jest nawet godzien obywatelstwa polskiego. Tysiące naszych rodaków, którzy w roku 1942 nie zdążyli na statek z Krasnowodzka do zbawczego portu Pahlevi i którzy dalej cierpieli w Sowietach, po wojnie nie mogło wykrzyzczyć swojego bólu.

Dokończenie na s. IV

Piotr Szubarczyk, IPN Gdańsk

Niezaleczona rana dzieci wojny

Dokończenie ze s. 11

Mówi się o Żydach uratowanych z niemieckiej zagłady, że po wojnie przeżywali traumę. Trauma to w języku psychologów rana fizyczna lub duchowa, która może być wynikiem „gwałtownego wzruszenia powodującego trwałą zmianę w psychice”. Żydzi mogli swą traumę leczyć, mogli ją publicznie wykrzyczeć wobec całego świata. Czy Janka Jurkiewiczówna przeżywała po wojnie traumę? Czy 6-letni Henio Grabski – który biegł za ojcem zbierającym szczątki żony, mamy Henia, zmarłej i pochowanej dzień wcześniej w sybirskim lesie, rozwleczone w nocy przez wilki – przeżywał po wojnie traumę? Po wojnie w dowodzie osobistym Janiny Jurkiewicz napisano, że się urodziła „w Związku Radzieckim, w Ukraińskiej SRR”, a nie w ukochanym, rodzinnym Złoczowie. Czy to leczyło jej traumę? Więć cierpieli – i Janka z Tarnopolskiego, i Heniek z powiatu zaleszczyckiego, i tysiące innych, którym Bóg pozwolił przeżyć sowieckie piekło, ale mówić o nim nie mogli. Co pozostało? „Nocne rodaków rozmowy” i „pieśń gminna” – ta sama, o której pisał Mickiewicz. Słowo, wypowiediane czasami potajemnie, które „stoi na straży narodowego pamiętek kościoła”.

Wydana w roku 2004 w Szczecinie znakomita praca – rozprawa naukowa Ewy Jackowskiej „Psychiczne następstwa deportacji w głąb ZSRR w czasie drugiej wojny światowej” rzadko jest cytowana, tak jakby problem traumy w Polsce nie istniał lub odnosił się tylko do zagłady Żydów. Doktor Jackowska cytuje studentów, uczestników obozu naukowego poświęconego sybirskiej traumie. Jedna ze studentek powiedziała: „Dzięki spotkaniom z byłymi zesłańcami bardzo dużo się nauczyłam. Otworzyło mi to oczy na moje szczęście. Na to, że można się cieszyć z tego, że ma się co jeść, że w budynku grzeją kaloryfery, że mam buty na zimę. Mogę teraz codziennie dziękować Bogu za te dary. Ten obóz nauczył mnie pokory wobec losu i przekonania, że człowiek naprawdę jest wielki. Potrzebne są mu tylko ręce, wiara w Boga i kilku dobrych ludzi na drodze życia”. No cóż, nie po raz pierwszy powtarzamy za Cyceronem: Historia magistra vitae est – Historia jest nauczycielką życia. A dokładniej: testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae, nuntia vetustatis – jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia, strażniczką tradycji. A mówią niektórzy, że polityka historyczna i edukacja historyczna są nam już niepotrzebne...

Dzieci Zamojszczyzny

To w języku polskim jednoznaczne określenie wywołujące pamięć niemieckiego „okręgu osiedleńczego” w powiatach hrubieszowskim, tomaszowskim i zamojskim. Od 28 listopada 1942 r. do marca 1943 r. masowo wysiedlano stąd Polaków – 297 wsi, około 110 tysięcy mieszkańców, wśród nich około 30 tysięcy dzieci! Duża część tych ludzi trafiła do pracy przymusowej w Niemczech, także do obozów koncentracyjnych, znaczną część dzieci wywieziono do Niemiec, by je zgermanizować. Wiele z tych dzieci Polska bezpowrotnie straciła.

„O obozie w Zamościu pisze się jako o obozie »przejściowym«, przesiedleńczym, dla Polaków rugowanych ze swoich gospodarstw, których też zmuszono do pozostawienia dorobku całego swojego skromnego życia potężnej III Rzeszy. Mówiło się »przejściowy«, jakby przez ten obóz można było przejść bez żadnego uszczerbku i pójść dalej bez żadnych szkód: materialnych, zdrowotnych, moralnych. To nie były też przesiedlenia, bo w zamian nie dawano niczego. Ludzi z obozu w Zamościu wywożono wa-

gonami towarowymi do obozów zagłady, do tzw. wsi rentowych, które nie istniały, na roboty niewolnicze do III Rzeszy. W wagonach na podłodze nie leżała nawet słoma, a zaganiano do nich tyle osób, ile można było upchnąć na stojąco. Na podłodze wagonów pojawiały się odchody transportowanych, chyba że wiele dzieci i staruszków już zamarzło na śmierć, to ich zwłoki leżały złożone pod drzwiami wagonu. Na podróż nie dawano przeważnie niczego do jedzenia i picia. Dzieci na stacjach kolejowych zebrały o kulki śniegu, by ugasić pragnienie. Pokażcie mi zbiorowe groby Niemców na trasie »wypędzeń«. Ja wam pokażę masowe groby w Siedlcach, Mrozach i innych miejscowościach na tym szlaku” – napisała Janina Zielińska z Warszawy.

Opis pewnego wysiedlenia (z archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich): „Wieś Białowola. Sołtysowi powiedziano, żeby zawiadomił mieszkańców, że będą wysiedlani, a każdy uciekający zostanie zastrzelony. Tej nocy wielu mieszkańców uciekło do lasu. Pozostali we wsi starcy i matki z dziećmi. Rankiem spędzono wszystkich do szkoły, w czasie spędzania słychać było strzały w całej wsi. Na progach swych domów ginęli oporni. Do szkoły spędzono ponad 100 osób, głównie kobiety z dziećmi. Obok szkoły przy remizie strażackiej ustawiono ciężki karabin maszynowy. Po zakończeniu prób i błagań Niemiec odliczył z pierwszej ławki pięć osób i każe im wychodzić. Przeszli obok karabinu i już mijali remizę, gdy gruchnęła salwa. Wychodzi druga grupa, widzi leżące trupy, znów seria z karabinu. Wychodzi trzecia piątka, matka i czworo dzieci, najmłodsza dziewczynka ma około pięciu lat, najstarsza czternaście lat, wysoka jak matka, w środku dwóch chłopców... Tym razem dłuższa seria i pojedyncze wystrzały, ginie cała rodzina. Idą piątki ludzi ze szkoły na śmierć. Nikt z żywych nie ma nadziei na przeżycie tej zbrodni. Idą dalsze piątki, a potem jeszcze kilkanaście osób, które zostały w szkole. Niemcy każą biec po trupach swoich bliskich. Mijają okrwawioną ścianę remizy, biegną nadal. Na placu między szkołą a remizą w Białowoli tuż po Świętach Bożego Narodzenia zostało ponad osiemdziesiąt ciał niewinnych starców, kobiet i ich dzieci. Ściana remizy, cała czerwona, długo sączyła krew. Po kilku minutach spod trupów podniosła się ręka, potem ukazała się okrwawiona głowa i wstał chłopiec. Rozejrzał się dokoła i uciekł na strych remizy. Niemcy byli już daleko”.

Dzieci Warszawy

Róża Kieszkievicz miała 11 lat, gdy przeżyła własną śmierć: „Pamiętam dzień 2 sierpnia 1944 r., kiedy z rodzicami, siostrą i mieszkańcami naszego domu na Woli, przy ulicy Zagłoby, stałam pod murem do rozstrzału. Wyciągnięto nas z mieszkań i popędzono pod mur. Oficer niemiecki oraz kilku Łotyszów w krótkich spodenkach i hełmach z zieloną siatką – niewzruszonych płaczem dzieci i kobiet oraz ojców żegnających się przed śmiercią ze swoimi żonami i dziećmi – przygotowywali się do egzekucji, kierując ku nam karabin maszynowy z długą taśmą kul. Inni żołnierze rzucali granaty do okien mieszkań, żeby nikt się w nich nie ukrył i nie uniknął śmierci”. Do egzekucji nie doszło po interwencji jakiegoś oficera, ale dziecko będzie żyło przez całe lata z jej obrazem pod powiekami.

Dzieci wojny

„Wojenne dzieciństwo. Losy dzieci polskich pod okupacją hitlerowską”. Tak nazywała się wystawa IPN z roku 2002 otwarta w Centralnym Muzeum Włókniarstwa w Łodzi w 60. rocznicę powstania obozu dla młodocianych przy ul. Przemysłowej w Łodzi. To był w gruncie rzeczy, podobnie jak w Zamościu, obóz koncentracyjny dla dzieci, potraktowanych jako „element niebezpieczny” dla Niemiec. Nie liczyło się tu ani prawo niemieckie, ani prawo międzynarodowe, ani normy moralne, niepisane prawa człowieka. Najmłodszy obywatel RP byli nie tylko ofiarami wydarzeń wojennych, ale też przedmiotem zaplanowanych działań, pozbawiających ich rodziców, prawa do nauki i zabawy, zmuszających ich do pracy – przedwczesnej i ponad siły.

Odchodzą roczniki Polaków, którzy wojnę przeżywali jako dorośli ludzie. Ostatnimi żywymi świadkami największej i najokrutniejszej z wojen pozostaną dzieci tamtych lat, zrzeszone dziś w takich organizacjach jak Stowarzyszenie Dzieci Wojny, które skupia ludzi pragnących swoją wieloletnią traumę wyciszyć przez wzajemną pomoc. Chcą też służyć pamięci, bez której przeszłość jest niepojęta, abstrakcyjna.

Dr Lucyna Kulińska, AGH Kraków

Tragedia polskich dzieci – ofiar nacjonalistów ukraińskich (1939-1945)

Dramat polskich dzieci wpisał się w przygotowany jeszcze przed II wojną światową przez członków Organizacji Nacjonalistów Ukraińskich (OUN) plan mający na celu fizyczne usunięcie z Kresów wszystkich nieukraińskich mieszkańców. W sprzyjających okolicznościach, gdy państwo polskie padło pod ciosami niemieckimi, a potem rosyjskimi najeźdźców, ów okrutny scenariusz został wprowadzony w życie. Apogeum zbrodni przypadło na lata 1943-1945. Areną zorganizowanego ludobójstwa stały się wschodnie województwa II Rzeczypospolitej: wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie, lwowskie (po wojnie – rzeszowskie), częściowo poleskie i lubelskie. Inspiratorami i wykonawcami byli ukraińscy nacjonalisci, głównie członkowie OUN i UPA (Ukraińskiej Armii Powstańczej), którzy do pomocy przy dokonywaniu rzezi wykorzystali miejscową ludność ukraińską. Sprawcy stosowali ścisłą segregację etniczną. Podczas mordów nie oszczędzano niewinnych, jeżeli tylko kojarzono ich z „Lachami”. Zabijano z wyjątkowym okrucieństwem. Bezwzględność, pastwienie się nad napaźniętymi, wyrafinowane tortury nawet wobec ciężarnych kobiet, bezbronnym małym dzieci, kalek czy starców zasługują na szczególne potępienie. Czyny, jakich dopuścili się ukraińscy nacjonalisci w imię budowania swego samodzielnego państwa, zasługują w pełni na miano ludobójstwa. Rzeź na Kresach należy uznać za jedno z najtragiczniejszych wydarzeń w całych dziejach Polaków.

Setki tysięcy Polaków zamieszkujących od wieków ziemie kresowe zostało wypędzonych, często bez żadnych środków do życia, wymordowanych czy też „repatriowanych” z własnych domów i gospodarstw. Nie jest znana dokładna liczba pomordowanych, zaginionych w czasie panicznej ucieczki, zmarłych w okresie późniejszym od ran, chorób i z głodu. Można przypuszczać, że liczba ofiar śmiertelnych przekracza 150 tysięcy. Wśród nich był zastraszająco bardzo wysoki procent kobiet, dzieci i ludzi w wieku podeszłym. Ci, którzy ocalili, na całe życie pozostali okaleczeni psychicznie, a często i fizycznie. Wielu w okresie późniejszym ciężko chorowało lub zakończyło życie śmiercią samobójczą.

Dziś ostatnimi naoczniymi świadkami są ocalałe z pogromów dzieci, bo starsi odeszli już z tego świata. Dzieci, często kompletne sieroty, przeżyły potworny wstrząs, patrząc na okrutną śmierć rodziców i rodzeństwa. Potem, częstokroć ranne, ruszały na tulaczkę skazane na samotność i poniewierkę. Niektóre cudem uratowane z rzezi kilkuletnie maluchy same docierały do większych miejscowości (np. cytowane w pracy Siemaszków przypadki dwóch dziewczynek z kolonii Czmykos, które dotarły do Lubomla, czy trzech chłopczyków ze wsi Huszyn, którzy samodzielnie dotarli do Kowla; jeden z nich, będąc już niemal u celu, został zastrzelony). Dzieci były często trwale okaleczone i zeszpecone w wyniku wyjątkowo barbarzyńskich metod zabijania. Traciły mowę na skutek urazów psychicznych i doznawały trwałego rozstroju nerwowego. Często na reszcie życia zostawały kalekami. Wiele sierot kresowych umierało przedwcześnie, nawet wtedy gdy znajdowały jakąś opiekę, przez spadek odporności na skutek szoku czy z powodu „choroby sieroczej”.

Wiele umierało po kilku latach, mimo wysiłków opiekunów. Najczęściej zabijała je gruźlica. Zachowało się wiele relacji rodzin krakowskich, które przycięły sieroty kresowe, a potem patrzyły bezradnie, jak dzieci te gasną. Sieroty umieszczano w ochronkach i sierocińcach, często z narażeniem własnych rodzin. Są to przypadki warte najwyższego uznania. I tu, i tam ich losy były różne. Czasem w rodzinach tych dostawały opiekę i ochronę, często jednak wykorzystywano je i poniżano.

Jest więc faktem, że tysiące młodych istnień naznaczonych zostało na całe życie tą tragedią. Osobom, które nie przeżyły śmierci najbliższych, nie zaznały potwornego lę-

ku o życie, zniszczenia całego mienia, panicznej ucieczki, nie sposób wyobrazić sobie, z jakim koszmarem ci bardzo młodzi ludzie mieli do czynienia. Z relacji przebija bezradność wobec wszechogarniającego zła, szczególnie wtedy gdy ojcowie walczyli z Niemcami na różnych frontach, a oni sami stawali się ofiarami bezkarnych morderców, ale też obok panicznego lęku widać ogromną siłę i determinację, by jednak przetrwać... Polskie dzieci, choć niewinne, doświadczały okrucieństw na równi z dorosłymi.

Po wojnie dzieci – ofiary kresowe nie doczekały się należytej opieki państwa. W archiwum autorki jest kopia dokumentu Komisji Ewakuacyjnej ze Lwowa z listopada roku 1946, mówiącego o tym, że jeszcze po „repatriacji” we Lwowie i na prowincji pozostało co najmniej kilkaset polskich sierot, bez środków do życia i dachu nad głową (ochronki i sierocińce polskie pozamykano), które dosłownie były zbierane z ulic. Zmagając się z tragiczną przeszłością, a często i kalectwem, zdane były na siebie. Nikt nie pomyślał o pomocy, rentach ani innych formach zadośćuczynienia.



Podjarków, pow. Bóbrka. Jedna z dwóch rodzin Kleszczyńskich zamordowana 16.08.1943 r. przez OUN – UPA. Rodzice i dwoje dzieci

Pisze pan Stanisław Ciołek z Zakopanego, dawny mieszkaniec Kut: „Choć mija już prawie 60 lat od tamtych krwawych dni, do dnia dzisiejszego mam w uszach krzyk mordowanych i często palonych żywcem polskich i ormiańskich mieszkańców Kut, jak również przed oczyma sponiewierane ciała bestialsko pomordowanych oraz morze płomieni palących się wokół domów. Widziałem hordy idącej czerni, wśród której często były dzieci – kilkunastoletni chłopcy, dziewczyny oraz kobiety asystujące, rabujące czy też mordujące bezbronne polskie i ormiańskie dzieci, kobiety i starców. Tak ginęło piękne, kwitnące miasto kresowe, zamieszkałe przez Polaków, Ormian, Żydów i Rusinów. Po rzeziach zostali tylko ci ostatni”.

Wola większości młodocianych świadków jest, by – wbrew przeciwnościom – prawda o tych strasznych wydarzeniach i ich tragicznych losach nie została przez rodaków zapomniana – bo co innego wybaczyć (większość ofiar już po chrześcijańsku wybaczyła swoim oprawcom), a co innego zapomnieć. Dlatego, jako już ostatni żyjący, zostawiam nam swoje męczeńskie świadectwo. Ogromny sprzeciw budzi w „dzieciach Kresów” gloryfikowanie ich oprawców i nobilitowanie na „bohaterów nowej Ukrainy”. Docierające do Polski informacje o tym, że ludziom, którzy zgotowali im tak straszny los, stawia się dziś pomniki, panteony, dopuszcza się ich do władzy, wypłaca renty, pisze o nich w podręcznikach jako o „ojcach ojczyzny” – wywołuje ból nie do zniesienia.

Dokończenie na s. VI